

Ks. PAWEŁ SMOLIKOWSKI CR

KATECHIZM SPORNY

Tekst oryginalny:

Katechizm sporny. Ułożył Ks. Paweł Smolikowski ze Zgrom. Zmartwychwst. P., Odbitka z „Przeglądu Kościelnego”. Poznań. Nakładem Księgarni Katolickiej. 1884, str. 42.

Pozwolenie Władzy Duchownej:

Imprimi permittitur.

Pelplini, die XXXma m. Julii 1884 a.

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono).

Opracowanie komputerowe: Michał Szlachciak CR (2009)

© Michał Szlachciak CR i Centrum Duchowości Zmartwychwstańczej w Rzymie, 2009



SPIS RZECZY

- I. Rozprawa z sceptykami
- II. Rozprawa z racjonalistami
- III. Rozprawa z indyferentnymi
- IV. Rozprawa z heretykami

Dzielimy wszystkich przeciwników prawdy na 4 kategorie: na **sceptyków**, **racjonalistów**, **heretyków** i **indyferentystów**; choć właściwie można by ich wszystkich sprowadzić do dwóch. Heretycy są dzisiaj niczym innym jedno racjonalistami; przyjmują bowiem objawienie, ale poddają je rozumowi. Indyferentyzm jest tylko inną formą sceptycyzmu: wyznaje niektóre prawdy, ale ich nie ma wcale za niezawodne, pewne. Indyferentysta pozostaje niby w wierze, w której się narodził; ale dlatego tylko, że nie zwykło się zmieniać swego przekonania, skoro się nie przypuszcza, by można było mieć jakąś pewność jakiegokolwiek prawdy. Tak więc dzisiaj ma się prawie wyłącznie do czynienia z zupełnymi sceptykami lub z racjonalistami. W rozprawach trzeba o tym pamiętać i zaraz od początku się upewnić, co przyjmuje przeciwnik, a co odrzuca; inaczej na wiatr spór toczyć się będzie.

Drugim ważnym warunkiem skutecznego rozprawiania jest stawić kwestie na właściwym stanowisku, i zaraz uderzać w samo ich jądro. Nie wdawać się więc w drobiazgi, bo to nie doprowadza do żadnego rezultatu, a sprowadza tylko z właściwego pola dyskusji. *Nie odpowiadaj głupiemu według głupstwa jego*, mówi Pismo św. (Przyp. 26, 4), *abyś nie był jemu podobny*. Tak np., do czego wiedzie spierać się z protestantami o Sakramenty, i dowodzić im tychże z Pisma św.? Byłoby to stawiać się samym na ich stanowisku, przyjmować ich zasadę, że Pismo św. ma wyrokować o tym, w co wierzyć mamy. Podobnież jakie może mieć następstwo rozprawiać o pochodzeniu Ducha Świętego i odwoływać się do powagi Ojców św.? Byłoby to uznać znowu fałszywą zasadę, jakoby wiara opierała się na Ojcach św. – My katolicy przyjmujemy wszystkie dogmaty dlatego, że nas tak Kościół uczy; również samo Pismo św. dlatego, że nam je Kościół podaje. **"W Ewangelię bym nie wierzył, powiadał św. Augustyn, gdyby mię do tego nie zmuszała Kościoła katolickiego powaga"** (*Evangelio non crederem nisi me cogeret S. Ecclesiae catholicae auctoritas*). – Całe więc rozprawianie z heretykami powinno się obracać około tego: jaki Kościół jest prawdziwy? Wszystkie dogmaty

się dowiodą, skoro się dowiedzie, że Kościół, który je podaje jest jedynie prawdziwy i naucza nieomylnie.

Ważną jest także rzeczą w każdym rozprawianiu nie lekceważyć przeciwnika. Prawda, że fałsz zwykle zyskiwał zwolenników dlatego, iż schlebiał namiętnościom, wyzwalał człowieka spod zależności od Boga lub od innych ludzi; – ale zbyt źle trzeba by trzymać o ludzkości, by sądzić, że to jest jedyna przyczyna panowania, dziś szczególnie, fałszu na świecie. Prawda, że *głupich jest poczet nieprzeliczony*, jak powiada Pismo święte (Eklez. 1, 15); i że *choćbyś stłukł głupiego w stępie jako krupę, nie będzie odjęte od niego głupstwo jego* (Przyp. 27, 22); i że słuszną jest uniknąć wszelkiego rozprawiania, bo *ze śpiącym gada, który mówi mądrość głupiemu* (Ekli. 22, 9); – ale i to prawda, że głębiej zajrzawszy do wszystkich herezji, tak religijnych jak i filozoficznych, łatwo się przekonać, że mają one w sobie pewną stronę prawdziwą, i że nie przyznawać im tejże, czyni właśnie rozprawy bezowocnymi; a nawet zatwardza przeciwników, zaspokajając niejako ich sumienia; czują się bowiem jakoby w prawdzie i w prawie obstawania przy swoim. Trzeba więc starać się przede wszystkim wydobyć na wierzch to, w czym przeciwnik ma rację, przyznać mu ją, i owszem: na niej się oprzeć w swoich wywodach, by tym bezpieczniej i mocniej uderzyć na stronę fałszywą, ogołoconą wtedy z wszelkiego pozoru prawdziwości.

I. Rozprawa z sceptykami

Dogmat sceptyków da się tak streścić: "My o niczym pewności mieć nie możemy, ani o tym co zewnątrz nas istnieje, ani o naszym własnym istnieniu, ani nawet o tym czy co prawdą jest lub nie". Zobaczmy, co ich skłania do powątpiewania, a przekonamy się, że powody nie są błahe. Weźmy najprzód pod rozbiór istnienie świata zewnętrznego.

Według nauki nowoczesnej materia składa się z atomów, które coraz bardziej u fizyków schodzą do punktów, nie mających żadnej rzeczywistości, bo mają być bez kształtu, bez rozmiarów, bez żadnej własności. Nawet **rociągniętości** dziś nie uważają za niezbędną własność substancji materialnej, skoro powiadają, że ostatnie jej części składowe są siły, tak że ciało mogłoby być w wielu miejscach naraz, podobnie jak duch. Zresztą substancji materialnych albo nie ma, albo ich nie widzimy. To, na co patrzymy, są zewnętrzne objawy sił różnych, tak nazwane **fenomena**.

Taki jest mniej więcej rezultat **dzisiejszej** nauki; a jakkolwiek dziwnym się wydaje, jest jednak bardzo poważny, bo tego samego niemal uczyła i Scholastyka. Materia u niej jest *prope nihil*, jak już orzekł św. Augustyn, i właściwie żadnej nie ma rzeczywistości (1). Według scholastyki *quantitas*, a tym samym i rociągniętość, nie należy do substancji, ale jest accidensum, i my substancji nie widzimy, a tylko jej

accidensa, które znowu rzeczowo różnią się od substancji, tj. są zupełnie czymś innym. Wszystko więc, co widzimy, jest skutkiem jakiegoś ruchu, jakiejś siły, ale w sobie jest niczym. Kiedy obracamy prędko jakiś punkt, zdaje nam się, że patrzemy na koło, a to tylko ruch prędkości jednego punktu. Coś podobnego ma się ze wszelkimi objawami materii. Patrzmy się na te objawy (*accidensa*), ale nie na substancję. – Dodajmy do tego, że sama wiara nas uczy, iż w Eucharystii substancja Ciała Chrystusa Pana, objawiająca się pod obcymi przypadłościami (*accidensami*), nie podpada pod prawa rozciągłości, boć jest na wielu miejscach współcześnie.

Sam więc skład świata zewnętrznego, czy to według nauki dzisiejszej, czy też według scholastyki zapatrywać, daje nam wiele do myślenia. Dodajmy do tego, że bezpośrednio my nań nie patrzemy, nie widzimy go, ale dopiero z odebranych wrażeń **wnosimy** o jego istnieniu i o jego własnościach. I tak. Przedmiotów nie widzimy zewnątrz nas, ale w sobie. Ślepi od urodzenia, pierwszy raz po dokonanej operacji, spojrzawszy na świat, myślą, że przedmioty dotykają ich oczu; nie mają żadnego wyobrażenia o odległości. A jest wiele dowodów na to, że wrażenia jakie odbieramy, często nas zawodzą. Nieraz także odnosimy je do jakiejś zewnętrznej przyczyny, a ta przyczyna często istnieje tylko w nas. Któż np. nie słyszał o **fatamorgana**? o owym złudzeniu optycznym, które sprawia, że widzimy z dala wielkie jeziora, wyspy, drzewa, wcale nieistniejące? Są tak zwane **subiektywne kolory**, które nie są w przedmiocie widzianym, ale w osobie, która się nań patrzy. Znany jest także **daltonizm**, stan, w którym nie można odróżniać kolorów. A cóż mówić o snach, widzeniach, złudzeniach rozmaitego rodzaju! Człowiek we śnie, lub w stanie widzenia, jest tak pewnym, że ten cały świat, na który się wtedy patrzy, istnieje, jak człowiek na jawie.

Przejdźmy teraz do wrażeń bardziej duchowych, wyższych, do wrażeń, z których zwykle wnosimy o naszym własnym istnieniu. Weźmy np. wrażenie **trwania, czasu** pod uwagę, a przekonamy się, że i te wrażenia są także bardzo względne i mylne. Czasem krótki przeciąg czasu wydaje nam się wiecznością, a dłuższy znowu jedną chwilką, a to według subiektywnego naszego usposobienia. Najlepszym dowodem tego jest fakt nieraz obserwowany w snach. Zdarza się często, że mamy sen bardzo długi, który się kończy jakimś wystrzałem lub uderzeniem pioruna, i w tej samej chwili rzeczywiście ktoś wystrzelił lub zagrzmiało. Dziś twierdzą, że to nie przypadek tak zrządził, ale że cały ów sen i najdłuższy był sprowadzony tym wystrzałem lub grzmotem. W jednej chwili przebiegliśmy myślą czasu wiele (2). Można się więc zapytać: nam się wydaje to życie, to istnienie tak długim, pełnym wrażeń, a może to chwila tylko? I ta chwila, jak we śnie, czymże jest? Czy jest rzeczywistością? A i samoż wrażenie, uczucie naszego istnienia czy nieomyłne, kiedy ginie np. w spaniu?

Ale na tym nie koniec. Dziś przyjętą jest rzeczą, że właściwie my na rzeczy się nie patrzemy, ale na wrażenia, jakie odbieramy, a dopiero myślą odnosimy te wrażenia do przyczyn, które je wywołały. Przypuśćmy, że wrażenia odbierane są nieomyłne.

To odnoszenie wrażeń do przyczyn odbywa się myślą, więc **rozumowaniem**; a czy owo rozumowanie jest nieomylnym? Chodzi głównie o dowiedzenie nieomyślności naszego rozumowania, jeśli chcemy mieć pewność, że istnieją zewnątrz nas przedmioty, że istniejemy my sami, a w końcu, że istnieje jakaś prawda, bo i do niej rozumowaniem dochodzimy, myślą ją przyjmujemy. A rozumowania naszego nieomyślności jakże dowieść, jeśli nie znowu rozumowaniem? Więc to, czego chcemy dowieść, zmuszeni jesteśmy przyjąć za prawdę w dowodzeniu, co się zowie w filozofii *petitio principii*. Prócz tego, każde rozumowanie musi zacząć od jakiejś prawdy, a tej jak będziemy dowodzić? Stąd też nic dziwnego, powie niejeden sceptyk, że tak różne są przekonania; jeden przyjmuje to za prawdę, co drugi odrzuca, a każdy przekonany, że ma rację, **bo nie można sprawdzić drogi, którą się do prawdy dochodzi**. To jest ostatnia i najgłębsza racja sceptycyzmu.

* * *

Że nie łatwo odpowiedzieć na wszystkie te trudności, już to samo dowodzi, że każda filozofia w nowszych czasach o ten szkopał właśnie się rozbijała: jakim sposobem przyjść do pewności tak nazwanej subiektywnej i obiektywnej, tj. pewności o istnieniu nas samych i rzeczy poza nami będących? – i że niekiedy najgłębsze umysły wpadały w końcu w sceptycyzm, który zresztą od najdawniejszych czasów miał zawsze zwolenników.

Filozofowie, jak **Rousseau, Constant, Jacobi, Reid**, powiadali, że przychodzimy do pewności filozoficznej, **idąc za naturalną skłonnością, która nas do prawdy prowadzi**, choć nie wiemy i wiedzieć nie możemy, dlaczego tę skłonność naturalną mamy za pewną. Takie rozwiązanie kwestii sprowadza wodę na młyn sceptyków, bo o to właśnie im chodzi, by wykazać, że cała nasza pewność jest ślepą, nierozumną, a tym samym że umysł nasz nie jest w stanie przyjść do jakiejś pewności.

Kartezjusz wymyślił rzecz bardzo subtelną. Powiadał, że każdy człowiek powinien raz w życiu zwątpić o wszystkim, wszystko odrzucić, by dojść filozoficznie do prawd wszystkich, co według niego jest rzeczą bardzo łatwą. Gdy bowiem wiem, że wątpię, powiadał, idzie za tym że myślę; a kto myśli, naturalnie, że istnieje. **Myślę, więc jestem** (*Cogito, ergo sum*); a że "wszystko to co jasno pojmuję jest prawdą" dodawał, więc przychodzę do tego, że Bóg jest; że mię stworzył; że rozum mój może poznać prawdę, bo inaczej Bóg sam byłby nas w błąd wprowadzał, gdyby nam był dał rozum niezdolny do przyjęcia prawdy, itd. Niedorzeczność takiego sposobu rozwiązania trudności uderza od razu. Jeśli mam zwątpić najprzód o tym, że istnieję, a nawet o takich prawdach, jak że 2 razy 2 czyni 4; skoro mam w ogóle zwątpić o wszystkim, dlaczegoż nie wątpię i o tym, że myślę? A jeśli wiem, że myślę, już tym samym przypuszczam, że istnieję, i nie wątpię. Więc oczywista sprzeczność.

Lamenais powiadał, że pewność w jakiej rzeczy daje nam to, że **wszyscy się na nią zgadzają** (*consensus communis*). Ale się nie spostrzegł, że tę powszechną zgodność muszą poprzedzać warunki, przy których jednych ona może mieć miejsce i wagę; taki warunek jest przypuszczenie istnienia naszego własnego i innych ludzi, itd. Bo jakże inaczej zabiorą się ludzie do zgody na coś, jeżeli nie będą znali wprzód i siebie samych i jedni drugich, i tego coś, na co się mają zgodzić, i tego co to jest zgoda? Stąd wypływa, że jeżeli jest coś, na co by się wszyscy mimowiednie zgadzali, to pewno na to, że o wielu rzeczach skądinąd mamy i możemy mieć pewność, nie zwracając się dopiero do takiej powszechnej zgodności. – Więc sprzeczność.

Są jeszcze tak nazwani **Tradycjoniści**, którzy utrzymują, że my byśmy o niczym pewni być nie mogli, gdyby nas Bóg o wszystkim nie upewnił przez **tradycję** tj. podanie, które nam przekazuje pierwotne objawienie. Ależ tu znowu zanim przyjmę objawienie, muszę wprzód wiedzieć, że jest Bóg, że Bóg objawił, że w błąd nas wprowadzić nie może, itd. Pełno rzeczy, które wiedzieć przed objawieniem z pewnością muszę, aby objawienie przyjmując, które by dopiero podług nich miało mi pewność przynieść. I tu sprzeczność!

* * *

Jakże więc przystąpić do rozprawy ze sceptykiem?

Właściwie mówiąc, rozprawiać z nim nie podobna boć on o wszystkim wątpi, sam więc żadnego pewnika postawić nie może. W każdym bowiem zdaniu, które by wypowiedział, już by przypuszczał: że jest, skoro mówi; i że przeciwnik jest, do którego przemawia; i że prawda jest i ją poznać można, skoro coś zatwierdza. Ale ponieważ i sceptycy zwykle są nielogiczni, jak większa część ludzi, chcą więc wbrew swoim zasadom, swoje myśli szerzyć, i ich dowodzić. Takim najlepiej zwrócić uwagę na tę ich sprzeczność z samymi sobą, i pokazać tym samym, że sceptycyzm jest nedorzecznym, niepodobnym, kiedy oni własnym przykładem nam pokazują, że **trzeba przyjmując koniecznie jakieś prawdy, pewniki, uprzednie, a także że ich dowieść ani podobna, ani tym samym nie potrzeba.**

Ale czy doprawdy my te prawdy pierwsze przyjmujemy tak na ślepo? Bynajmniej. One są tak oczywiste, że ci nawet, którzy je przeczą, **przeczeniem swym je stwierdzają**, i dlatego właśnie dowieść ich nie można ani potrzeba, że **w każdym dowodzeniu już są przypuszczone, i jakby z góry dowiedzione.**

Prawdy te, pewniki, są następujące:

1) **Że ja istnieję.** O tym wątpić nie mogę: bo wątpiąc, już przypuszczam i już dowiodłem, że jestem. Dowieść także nie mogę: bo biorąc się do dowodzenia już dowiodłem i zatwierdziłem moje istnienie. Czy wątpić, czy dowodzić, ten tylko może, który istnieje.

2) **Że rozum mój może poznać prawdę.** Jeśli przeczę temu, tedy przypuszczam to przynajmniej, iż dla rozumu mego to jest prawdą, "że prawdy żadnej pojąć nie może". Dowieść, że rozum mój może poznać prawdę, nie mogę, bo w takim dowodzeniu musiałbym koniecznie oprzeć się na zasadzie, że rozum mój może poznać jakąś prawdę, skoro takiej prawdy dowodzę rozumem; a w takim razie już samym dowodzeniem przypuszczałbym to, czego miałbym dowieść.

Z tych prawd pierwszych wyprowadzają się inne. I tak:

1) Jeśli rozum nasz może poznać prawdę, to rozumowanie odpowiednie naturze i zakonowi rozumu nie może być fałszywym tj. do fałszu prowadzić; a więc wtedy i wnioski muszą być prawdziwymi. Ponieważ zaś, choć my na świat zewnętrzny patrzymy przez wrażenia, które odbieramy, rozum nasz jednak **wnosi** podług prawa i zakonu swego, że przyczyna tych wrażeń jest poza nami, i że istnieją zewnątrz nas przedmioty, o których myślimy, lub na które się patrzymy; więc one istnieć koniecznie muszą i istnieją. **Przychodzimy tedy do pewności obiektywnej.**

Przykłady przytaczane na dowód, że nie zawsze wrażeniom naszym odpowiada rzeczywistość, dowodzą zarazem, że są sposoby, którymi sprawdzić możemy, kiedy rozum nasz się myli, a kiedy nie, i potwierdzają tym samym prawdziwość naszego rozumowania.

2) Raz przyjąwszy, że rozumowanie nasze jest prawdziwe, dosyć się przypatrzeć, jakimi prawami ono się rządzi, by wykryć istotny zakon naszego myślenia, **a więc sprawdzić i wynaleźć drogę, którą się do prawdy dochodzi.**

3) Myśleniom naszym prawdziwym, to jest pomyślanym podług prawa i zakonu rozumu, powinna odpowiadać i odpowiada koniecznie rzeczywistość, inaczej nasze myślenie nie byłoby prawdziwym tj. odpowiednim zakonowi swemu. Że takiemu myśleniu odpowiada koniecznie rzeczywistość, rzecz nie może być wątpliwa; gdyż nie tylko niedorzecznym, ale zgoła niepodobnym jest przypuścić, że między zakonem myślenia a zakonem istnienia jest sprzeczność, jak gdyby jeden i drugi zakon każdy skądinąd powychodziły, a nie należały jeden i drugi do harmonijnej jedności zakonu rządzącego naturą całą stworzoną. **Z praw przeto myślenia możemy wnosić o prawach istnienia.**

II. Rozprawa z racjonalistami

Racjonalistom chodzi o odrzucenie objawienia. Niełatwo im jest jednak dowieść, że objawienie **nie miało miejsca**, bo odrzucając dowody historyczne, wpadają w tak zwać się mogący sceptycyzm historyczny, który prowadzi do zupełnego już sceptycyzmu; zwykle więc zostawiają na stronie kwestię historyczną, a starają się dowieść, że objawienie **nie mogło mieć miejsca i że w końcu nie jest**

potrzebnym. Pan Bóg dał człowiekowi rozum, powiadają, ten musi mu wystarczyć, a człowiek tylko o tym może być pewny, co nim poznaje, i to przyjąć tylko, co mu ten dyktuje. Rozum nie może przyjąć tajemnic, których nie rozumie, a zresztą jakaż korzyść z tego, czego nie pojmuje? Człowiekowi żyjącemu tu na ziemi potrzebne są wiadomości nie o rzeczach nadprzyrodzonych, nadziemskich, lecz jak ma żyć z ludźmi i być tu na ziemi szczęśliwym, a na to rozum mu starczy. Badanie i zajmowanie się rzeczami nadziemskimi odwraca go od ziemi, przeszkadza spokojnemu postępowi, kłóci ludzi między sobą, wywołuje niesnaski religijne. – Co się tyczy samegoż objawienia, nigdy, powiadają, człowiek nie mógłby być pewnym, czy ono nie pochodzi z wyobrażenia lub z innej przyczyny, i czy ci, co są jego świadkami, nie mylą się sami i innych w błąd nie wprowadzają?

Takie są trudności nasuwane przez racjonalistów, których dogmatem jest, że **rozum sam sobie starczyć winien.** Ale w tej części naszej rozprawy musimy mówić nie tylko o **racjonalizmie** w tym ściślejszym znaczeniu, lecz i o **materializmie, panteizmie, ateizmie,** bo to są dalsze tej zasady następstwa. Rozum sam sobie zostawiony i koniecznie chcący jednostronnie sam z siebie wszystko zrozumieć, musiał przyjść do skrzywienia pojęcia Boga i stosunku stworzeń do Stwórcy.

Właściwie mówiąc nie było nikogo, co by rozumnie przeczył Boga. **Istnienie** jest dla rozumu prawdą tak jasną, tak oczywistą, że nikt jej odrzucić szczerze nie mógł, a łatwiej jest pojąć istnienie bez początku, to jest Boże, aniżeli istnienie poczęte. Odrzucano więc raczej stworzenie, to jest istnienie poczęte; a nie mogąc przeczyć objawom istniejącego świata, według pojęć o świecie urabiano pojęcie Boga. Tym jest panteizm i materializm; bo i ten ostatni przypuszcza materię **niestworzoną, od wieków istniejącą,** a więc Boga. Słusznie jednak nazywają i panteistów i materialistów ateistami, bo to co u nich jest Bogiem, nie odpowiada prawdziwemu pojęciu Boga, a tym samym przeczy istnieniu prawdziwego Boga.

Powiedzieliśmy, że trudno jest pojąć **istnienie poczęte** tj. **stworzenie.** I rzeczywiście, jak pogodzić to, że coś ma istnienie prócz Boga z tym, że Bóg jest pełnią bytu? Jakim sposobem Bóg jest istotą nieskończoną, najdoskonalszą, kiedy ze stworzeniem byłby czymś więcej niż bez niego? Zresztą jak zrozumieć, że coś, co nie istniało od wieków, z nagłą zaczyna istnieć bez żadnej zniewalającej przyczyny? Jeśli zaś miał Bóg w sobie jakąś zniewalającą przyczynę stwarzania, dlaczegoż nie stworzył od wieków? Dajmy na to, że Bóg, jako dobro nieskończone, miał w sobie potrzebę udzielania się innym, że w tym właśnie leży szczęście, doskonałość Boga, – nie możemy bowiem pojąć istoty, która by mogła istnieć sama jedna i nie potrzebowała żyć z innymi istotami, udzielać się im; – ależ wtedy ta potrzeba była w Bogu od wieków, stwarzanie więc będzie koniecznością, i istoty stworzone tym samym stanowią bóstwo, należą do niego, jako to bez czego ono być nie może.

Prócz tego, jeśli niełatwo pojąć, by coś istniało prócz Boga, jeszcze trudniej zrozumieć, by coś mogło **działać z siebie, niezależnie, nie będąc Bogiem**. Stworzenie wszelkie zależy koniecznie w swym działaniu od Boga, jako od pierwszej przyczyny wszechrzeczy. Owszem, ta zasada, że nikt się nie porusza, jak tylko poruszony – *nemo movetur nisi motus ab alio* – i ta druga, że nic bez przyczyny się nie dzieje – *nihil ex nihilo fit* – podaje się jako dowód, że musi istnieć pierwszy motor i pierwsza przyczyna, tj. Bóg. A w takim razie gdzie miejsce dla niezależnego działania człowieka, dla wolnej jego woli? jak zrozumieć, że Bóg nie jest przyczyną grzechu i złego, a jest przyczyną naszych dobrych dobrowolnych uczynków?

Są jeszcze i inne trudności w zrozumieniu stosunku stworzeń do Boga, np. dlaczego Bóg za grzech uczyniony w czasie karze wieczną męką? dlaczego wiedząc, że człowiek upadnie, wystawiał go na pokusę? itp., ale w każdym razie największą trudnością jest zawsze to **działanie ludzkie wolne pod zależnością Bożą**. Trudność tę lepiej ocenić można jeszcze z samychże teologów, którzy starają się pogodzić wolną wolę człowieka z działaniem Bożym. Stawiają oni tę kwestię w tej formie: "jakim sposobem może Bóg wiedzieć, co człowiek w przyszłości dobrowolnie uczyni?". Zobaczmy, jakie podają rozwiązanie.

Szkoła Tomistów naucza, że Bóg widzi dobrowolne nasze przyszłe uczynki w sobie samym, jako w ich przyczynie – innymi słowy: Bóg wie, że to lub owo się stanie, bo chce, by to lub owo się stało. Ale wtedy, powiemy, człowiek działa z konieczności? Bynajmniej odpowiadają. Pan Bóg nie tylko sprawia, że my działamy, ale i to, że dobrowolnie działamy. Bóg porusza wolę naszą, zanim ta działa, i sprawuje, że się ona decyduje **dobrowolnie**. Tym sposobem nie tylko to uprzedzające działanie (*praemotio physica*) Boże nie niszczy woli, ale owszem czyni ją wolną. Takie jest tłumaczenie Tomistów; ale czy ono rzecz wyjaśnia?

Szkoła Moliny inaczej tę rzecz wyklada. Bóg, powiada ona, wie, na co się człowiek zdecyduje, bo wie, co by on uczynił w danych okolicznościach. Tu cała trudność jest w tym: czy okoliczności owe decydują człowieka do takiego lub innego działania? Jeśli tak jest, to człowiek zależałby od okoliczności, nie byłby wolnym i Bóg byłby przyczyną całej jego decyzji, stawiając go w takich a nie innych okolicznościach. Jeśli zaś okoliczności owe nie decydują człowieka, jeśli on pomimo nich może inaczej działać, skądże wtedy Bóg wie o tym, że koniecznie w tych okolicznościach tak lub inaczej działać będzie?

Obrońcy systemu Moliny zauważyli snadź tę jego słabą stronę i dlatego dziś tak go tłumaczą: To, że człowiek w danych okolicznościach tak działa, powiadają, jest prawdą. Ta prawda, jak wszelka prawda, jest nią od wieków i dlatego Bóg ją od wieków zna (3). Ale w tym właśnie leży cała kwestia: dlaczego to, co człowiek uczyni dobrowolnie ma być prawdą od wieków? bo wszakże od wieków uczynek nie został spełniony?

Słowem, w tej kwestii słusznie powiada św. Augustyn, że ten co broni wolnej woli, zdaje się przeczyć działaniu Bożemu, a ten znowu, co broni działania Bożego, zdaje się niszczyć wolną wolę. – "Qui liberum arbitrium defendit videtur negare gratiam; et qui gratiam defendit videtur negare liberum arbitrium" (*De Gratia et libero arbitrio*, c. 1).

* * *

W całej tej rozprawie główną rzeczą jest przyjść najprzód do prawdziwego pojęcia Boga.

Jeśli przyjmiemy, że **coś istnieje** (a przyjąć musimy, bo inaczej wpadamy w bezrozumny sceptycyzm), to owo coś ma to istnienie albo w sobie, albo dostaje je od kogoś; ale samoż **istnienie** musi być **odwiecznym**, bo z niczego i znienacka istnienie wypłynąć nie mogło.

To istnienie odwieczne nie może być myślą tylko, abstrakcją, bo istnienie odwieczne choćby myśli tylko, to rzeczywistość; a rzeczywistość choćby myśli jest prawdziwym istnieniem. Zresztą jakżeby podobna (albo raczej niepodobna) myśl abstrakcyjna stała się rzeczywistością następnie? Skąd by się wzięło istnienie, gdyby go już od wieków nie było?

Istnienie to nie może być własnością szczegółową rzeczy istniejących, inaczej one by zawsze istniały, i to takie a nie inne, bo takie a nie inne miałyby w sobie istnienie. Istnienie musi więc być czymś w sobie, odrębnym, samoistnym.

To istnienie nazywamy Bogiem. Istotą więc Bożą, to jest: tym czym jest, jest istnienie. Tak też Bóg sam o sobie orzekł: "Ego sum qui sum": jestem który jestem. *Ego eimi o on*: jestem będącym. Jestem, czym? Będącym, tj. to czym jestem, moją istotą, jest istnienie; istota moja jest w tym, że **jestem**.

Z tego, że w Bogu istota jest samymże istnieniem, możemy wyprowadzić inne wszystkie przymioty Boże, a mianowicie to że Bóg jest: **wiecznym, koniecznym, nieskończonym, najdoskonalszym, jedynym i niezmiennym**.

Wiecznym, bo inaczej musiałby był kiedyś istnienie otrzymać, stać się, a więc nie miałby je w sobie, nie byłby samymże istnieniem.

Koniecznym, bo skoro do istoty Jego, do tego czym jest, należy istnienie, tj. by był, by istniał, – samaż więc Jego istota z konieczności wymaga, by istniał.

Nieskończonym. Ten, którego istnienie (*existentia*) jest istotą (*essentia*), Ten jest czymś nieskończonym; wszystko bowiem co istnieć może, w Nim jest. Ogranicza się każde istnienie przez swoją istotę, przez to **czym** coś jest. Gdy mówimy: **jest**, wypowiadamy coś ogólnego, i dlatego ograniczamy to **jest**, to **istnienie**, dodając: jest tym, jest owym, np. jest materią. Tutaj materia ogranicza, opisuje, oznacza to

jest do jednego tylko rodzaju istnienia, bo powiada, że nie jest, nie istnieje, jako roślina, jako zwierzę, jako duch, ale tylko jako materia. To więc, co jest **samymże istnieniem**, jest nieskończonym, bo nic go nie ogranicza, nie oznacza. Jego istotą, to czym jest, jest istnienie, a istnienie jest nieskończonym.

Stąd wypada, że wszystko to, co ogranicza istnienie, nie może być w Bogu, i dlatego nie ma w Nim czasu, miejsca, ciała, rozmiarów....

Najdoskonalszym. Wszelkie jestestwo (*ens*) jest doskonałym dlatego, że **jest** czymś, tj. **o ile jest**; niedoskonałym zaś dlatego, że jest jakaś wyższa istota, której nie ma, tj. niedoskonałym **jest, o ile nie – jest**. Np. anioł jest doskonałym, ponieważ **jest** duchem, rozumnym.... niedoskonałym zaś ponieważ **nie jest** nieskończonym, wszechwiedzącym.... W Bogu zaś jest pełność istnienia, bo On jest samymże istnieniem, nie ma w Nim tego **nie-jest**; ma więc w sobie i pełność doskonałości, nie ma w Nim żadnej niedoskonałości.

Innymi słowy:

Że jaka rzecz, jestestwo nie jest tak doskonałym jak inne, przyczyną tego nie jest istnienie, ale istota tej rzeczy, tego jestestwa, tj. to czym ta rzecz, to jestestwo jest. Istota ogranicza istnienie do pewnego rodzaju istnienia, więcej lub mniej doskonałego. To zaś co z istoty swej nijak nie jest ograniczonym w istnieniu, bo jest samymże istnieniem, to istnieje najdoskonalej i jest jestestwem najdoskonalszym.

I rzeczywiście, cóż to znaczy, kiedy mówimy, że coś jest doskonalszym lub mniej doskonałym? nic innego, jedno że jest doskonalszym lub mniej doskonałym istnieniem. Rzecz, jestestwo bowiem każde, nic innego nie jest, jedno **pewnym istnieniem**. Najdoskonalsze więc i najpełniejsze istnienie będzie najdoskonalszym jestestwem. Bóg zaś jest najdoskonalszym i najpełniejszym istnieniem, bo jest samymże istnieniem, bez żadnego ograniczenia, jest więc i najdoskonalszym jestestwem.

Jedynym, bo Bóg będąc istnieniem, co tylko ma byt w sobie, wszystko to obejmuje. Gdyby był jakiś inny byt, Bóg nie byłby pełnością bytu, nie byłby samymże istnieniem. Stworzenia mają byt sobie od Boga dany, ale bytem nie są.

Niezmiennym, bo w Bogu, jako w pełności bytu, nic nie może być dodanym, co by w niej nie było, ani odjętym co w niej jest. Nie może tedy w Nim być żadnej zmiany, bo w każdej zmianie coś się **staje**, co **nie było**. I dlatego też Bóg nie może przenosić się na przykład z miejsca na miejsce, to bowiem pociąga za sobą pewną zmianę, Bóg musi być wszędzie. Nie ma miejsca, w którym by nie był, nie ma miejsca możebnego nawet, które by jeszcze na Niego czekało.

Bóg tak pojęty, w teologii nazywa się **czystym aktem**. To znaczy, że w jednym niezmiennym akcie, który trwa całą wieczność, zawarte są wszystkie doskonałości.

Mając takie pojęcie Boga, które jest tylko prostym następstwem tego, że Bóg jest samymże istnieniem, możemy odpowiedzieć na wszystkie trudności i zarzuty. A naprzód, to pojęcie Boga jest wprost przeciwne panteistom i materialistom, bo u nich Bóg jest zawsze istotą złożoną i zmienną. Świat jako złożony i zmienny nie może być Bóstwem ani objawem istotnym Bóstwa, musi więc być pojęty jako stworzenie, tj. że istnienie, które ma, nie ma go w sobie; a przeto od Tego co ma, musiał je otrzymać.

Że w Bogu, jako w istocie najdoskonalszej, a więc w dobru nieskończonym, jest ta potrzeba udzielania się innym, na to zgodzić się każdy musi, jest to zresztą dogmatem chrześcijańskim. Jak w Piśmie św. Bóg objawił się **istnieniem, jako Ten który jest**; tak się też objawił także **istnieniem kochającym, udzielającym się**. "Bóg miłością jest", powiada św. Jan Ewangelista. Ale to udzielanie się nie koniecznie wychodzi poza samego Boga, nie jest koniecznie udzielaniem się innym istotom niż Bóg. Przeciwnie, dlatego samego że takie udzielanie się miłości w Bogu musi być koniecznym, nieskończonym, odwiecznym, dlatego też nie może być jako takie udzielaniem się stworzeniom, które nie mają w sobie odpowiedniego charakteru. Takim jest tylko udzielanie się Bóstwa sobie samemu w trzech osobach Trójcy Świętej. Te osoby muszą być odwieczne, bo bez nich Bóg nie miałby tego, czego mieć potrzebuje do swego istnienia, musi być więc każda z nich Bogiem; a że jeden tylko może być Bóg, więc one różnią się między sobą jedynie wzajemnym udzielaniem sobie tego Bóstwa. Wszelkie inne udzielanie się istnienia z miłości, tj. udzielanie się stworzeniom jest zależne od woli Bożej, a tym samym nie konieczne.

Jeśli dalej chodzi o to, dlaczego Bóg nie stworzył świata od wieków, to i teologowie niektórzy zgadzają się na to, że można powiedzieć, iż Bóg stworzył świat od wieków, byleby przez to nie rozumieć, że świat jest w sobie odwiecznym.

Ale jak pogodzić to, że Bóg jest jednym aktem niezmiennym, z tym, że stwarza i ma stosunki zmienne ze stworzeniem? że będąc pełnią bytu, i stworzenia jeszcze mają byt swój?

Widzieliśmy, że rozum przyjąć **musi** istnienie Boga i istnienie stworzenia. To, że nie pojmujemy, jak jedno obok drugiego istnieć może, dowodziłoby tylko, że są rzeczy, których rozum nasz dociec nie zdoła. Jednak do pewnego tychże zrozumienia przyjść możemy, bylebyśmy tylko bardziej duchowo na te rzeczy się zapatrywali. Odpowiedzieć więc możemy przykładami.

Pierwsze zasady (*prima principia*), powiada O. Franzelin, zawsze są te same i niezmiennie, choć w różnych czasach według nich formują się rzeczy. Np. w tej zasadzie: "dwie ilości równe trzeciej, są równe między sobą" – odniesienie czyli stosunek tej zasady do figury jakiej geometrycznej jest **wieczny** ze strony prawdy,

czasowy ze strony tej figury. Ta zasada jest prawdą **wszędzie i zawsze**; i **niezmienną**, choć w czasie jakim i w miejscu jakim stanie się coś według niej. To co się tak stało, nie dodaje nic do tej zasady, nic nie ujmuje, nic nie zmienia.

Drugi głęboki myśliciel dał inne następujące porównanie. Kiedy myśl jaką wypowiemy słowami, ta z nas wychodzi i może być powtórzoną w myślach, w ustach innych ludzi, w książkach, może nawet zrodzić inne myśli; a jednak w nas ta myśl jest zawsze ta sama, nic nie traci, ani zyskuje na tym, że dała istnienie innym myślom.

Przechodząc do innych trudności, nie tak łatwo zrozumieć, jakim sposobem np. da się pogodzić nasza wolna wola z działaniem Bożym? Bo wiemy, że Bóg jest przyczyną nie tylko naszego istnienia, ale i wszelkiego działania, jako pierwsza przyczyna wszechrzeczy i pierwszy motor; działanie bowiem idzie za istnieniem – *operatio sequitur esse* – jak w istnieniu, tak i w działaniu jesteśmy zależni.

Jakim sposobem Bóg może przewidzieć, co uczynimy dobrowolnie w przyszłości? Tego my także nie możemy pojąć; bo kiedy myślimy o czymś, myślimy w warunkach czasu i przestrzeni, a Bóg od czasu i przestrzeni nie zależy. Bóg więc właściwie nie przewiduje, ale **widzi**. Jak? tego zrozumieć nie możemy. Dobrze powiedział pewien pisarz, że kiedy zbyt się wpatrujemy w jaki przedmiot, wzrok się nam zaciemnia i przestajemy widzieć; dlatego żeśmy chcieli zanadto dobrze widzieć.

Co do wieczności kar i innych podobnych kwestii wystarczyć nam powinna ta racja, że Bóg jest sprawiedliwy i miłosierny, jeśli więc karze kogo tak strasznie, musiał ten na to zasłużyć i kara ta nie tylko że jest sprawiedliwą, ale i miłosierną – inaczej Bóg nie byłby Bogiem, boby nie był najdoskonalszą istotą. "Mocno wierzymy, powiada jeden z dawnych pisarzy kościelnych, że Bóg jest sprawiedliwy, a nie pragniemy wiedzieć o tym, co przed nami chciał ukryć; i kiedy nie możemy dociec, dlaczego Bóg tak postanowił, niech nam to starczy, że to **On** postanowił" (4).

Inne zarzuty racjonalistów nie tak wielkie przedstawiają trudności.

Czy rozum sam powinien nam być wystarczyć i czy potrzebne nam było objawienie, o tym Pan Bóg wiedział najlepiej. Skoro dał objawienie, widocznie, że je uważał za potrzebne.

Ale jaka korzyść z tego, czego nie rozumiemy? powiadają. Naprzód, jakoś przecie rozumiemy tajemnice wiary, boć nie w słowa wierzymy, jak powiada św. Augustyn, ale w rzecz samą przez słowa wyrażoną. I w rzeczach naturalnych nie pojmujemy wiele rzeczy, i ich praw, i sił, i czym one są, choć je przyjmujemy, bo mamy dowody, że są, że istnieją. Zresztą skoro Pan Bóg objawił tajemnice wiary, widocznie jest to z naszą korzyścią. Jeśli prawda jest, że człowiek powinien uznać,

nie powiemy to tylko, co rozumem **rozumie**, ale to, co mu rozum **dyktuje**; to pewną jest także rzeczą, że rozum każe nam przyjąć wiele rzeczy, których nie rozumiemy czym są w sobie, każe nam wierzyć osobom wiarogodnym, świadczącym nam o jakimś fakcie, przy którym obecnymi nie byliśmy; każe nam na koniec przyjąć to, co Bóg objawił.

Racjoniści często bardzo mówią o złym wpływie, jaki wywiera na społeczeństwo zajmowanie się rzeczami nadnaturalnymi, religijnymi. Ależ tu nie idzie o wpływ jakiś, według niewiadomo jakiego pravidła uznany za dobry lub zły; tu idzie o prawdę i rzeczywistość, to jest, czy rzeczy nadnaturalne, religijne są, czy nie są? Zresztą czyż one doprawdy zły wpływ wywierają? Ci, którzy ich zakosztowali inaczej twierdzą; mówią nawet, że one dają takie dobra, jakich rozum sam jeden dać nie może. Więcej jeszcze, rozum sam przekonywa się nareszcie, że on jeden nie wystarcza, aby zaspokoić, uszczęśliwić człowieka tu na ziemi. Dowodem tego jest to, że bez religii człowieczeństwo utrzymać się nie może; w miarę, jak upada religia, zbrodnie się mnożą, ludzie dziczeją, społeczeństwo się rozkłada. Zresztą każda jednostka potrzebuje religii, choćby dlatego, żeby znośnie żyć na ziemi. Słusznie powiedział Montesquieu, że religia, która zdaje się zajmować tylko życiem przyszłym, jedna zabezpiecza nasze szczęście tu na ziemi. Nie religia tedy, lecz jeśli co dzieli ludzi między sobą, to dobrobyt materialny i szczęście doczesne, postawione jako cel i jedyne zajęcie człowieka.

Co się tyczy niemożności sprawdzenia, czy objawienie jest od Boga, czy nie, dosyć to jedno powiedzieć, że Bóg, jeśli co ludziom objawia na to, by oni w to wierzyli, **winien to sobie**, jak powiada teologia, by objawił tak, żeby ludzie o tym wątpić nie mogli, że to On objawił, byleby tylko szczerze chcieli się o prawdzie przekonać. I tak też Bóg czyni. Dlatego objawienie każde poparte bywa cudami, prorocत्वami, świętością i wiarogodnością tych, którym Bóg objawił; nareszcie samaż nauka objawiona nosi na sobie znamię boskości. Prawda, że nieraz to, co się zdaje cudem, może takim tylko się wydawać, może nie koniecznie być cudem prawdziwym; ale Pan Bóg **winien to sobie** wtedy, by okazał, że takie cuda nie są Jego dziełem, i nie są świadectwem prawdy. Tak Bóg uczynił np. kiedy przed Faraonem Magowie, na wzór Aarona, swoje kije zamieniali na węże. Wąż Aarona pożarł je.

III. Rozprawa z indyferentnymi

Powiedzieliśmy, że podstawą indyferentyzmu jest pewien sceptycyzm religijny. Łatwo się o tym przekonać z własnych wyznań ludzi indyferentnych w rzeczach religii. Oto mniej więcej ich rozumowanie:

Żeby się człowiek zbawił dość by żył po chrześcijańsku, uczciwie; by wypełniał swe obowiązki i trzymał się swej wiary. Każdy powinien pilnować wiary w której się wychował i Kościoła, w którym się urodził. Bóg bowiem nie mógł żądać od nas

rzeczy niepodobnych; a nam niepodobna, nie będąc teologami (a i ci nie zgadzają się między sobą co do wiary), badać, która wiara jest prawdziwą i który Kościół jest od Chrystusa Pana ustanowiony. Czyż ja wynajdę to, czego i najuczeńsi nie znajdują? Czyż Pan Bóg nie chciał tego, bym się urodził w tym Kościele i bym się wyuczył takiej wiary? Gdyby Bóg chciał rzeczywiście, by nasze zbawienie zależało od wyznawania jakiejś prawdziwej, jednej wiary, i od należenia do jakiegoś prawdziwego, jednego Kościoła, powinien był dać nam tę wiarę i pokazać ją, należałoby byśmy się w tym Kościele urodzili i ten Kościół jako taki prawdziwy, jedyny, widzieli. Inaczej będziemy wystawieni na to, że ciągle zmieniać będziemy naszą wiarę, ile razy ktoś uczeńszy i zręczniejszy od nas, wykaże nam, że nasza wiara nie jest prawdziwą, a my nie będziemy wiedzieli, co mu na to odpowiedzieć. Zresztą dlaczegoż by zbawienie nasze zależało nie tylko od uczynków, ale i od wiary i od należenia do Kościoła? W uczynkach jest zasługa, wierzę zaś tak, jak mię nauczono.

Jednym słowem, indyferentny powiada: Moja wiara jest prawdziwą dla mnie, bom się w niej urodził, bo to wiara moich przodków; jej się trzymam i jej nie zmienię; ale nie potępiam też innych religii, szanuję je, boć i one są z woli Bożej na tym świecie.

* * *

Mamy do czynienia z ludźmi, którzy wierzą w objawienie, przyjmują to, że P. Jezus założył Kościół, i owszem, na nieszczęście są to nawet i katolicy. Żeby łatwiej utrzymać ciąg pewien w odpowiedzi, rozłożymy rozprawę tę na dwie części. Najprzód weźmiemy pod rozbiór potrzebę wiary prawdziwej, a potem konieczność należenia do prawdziwego Kościoła.

* * *

Czy Bóg chce abyśmy w coś wierzyli? Na to pierwsze pytanie każdy chrześcijanin musi odpowiedzieć: Chce, skoro objawił pewne prawdy. Ale rzecz cała jest w tym, czy Bóg, objawiając nam pewne prawdy na to, byśmy w nie wierzyli, chce zarazem, aby od tej wiary zależało nasze zbawienie?

Odpowiedź naszą oprzyjmy na pewniku, który i dla nas i dla przeciwników wspólną jest prawdą. Tym pewnikiem jest: że zbawienie nasze zależy od uczynków, to jest od wypełniania naszych obowiązków. Jeśli tedy tak jest, to czyż nie jest **obowiązkiem** człowieka wierzyć w to, i przyjąć to pewną wiarą, co Bóg objawił? Panu Bogu należy się od nas cześć, miłość, szacunek; to czyż wolno będzie lekceważyć sobie Jego słowa i nie wierzyć w to, co On mówi? To pierwsza nasza odpowiedź.

Druga odpowiedź niech ta będzie: że bez tej wiary my nie będziemy wiedzieli, jakie są nasze obowiązki, ani tym samym jakie by mają uczynki. Uczynki zależą

od wiary, nie tylko dlatego, że wiara pokazuje nam, jakie są nasze obowiązki; (wiara np. w przykazania Boże uczy co mamy czynić, a czego nie czynić; wiara np. w nagrody i kary wieczne daje sankcję tym przykazaniom i wstrzymuje nas od grzechu; wiara np. w moc Sakramentów, modlitwy, pośrednictwa Świętych, w potrzebę postu, umartwień, we władzę Kościoła, daje nam środki potrzebne i niezbędne do zbawienia) – ale i dlatego jeszcze, że wiara nam pokazuje, czym jest Bóg, jak nas umiłował, co dla nas uczynił, jakie Jego do nas prawa, przez co wzbudza w nas miłość do Boga, bez której nie ma zbawienia; a ucząc nas, czym my jesteśmy, uczy nas nie polegać na sobie, szukać w Bogu pomocy, i zapewnia tym sposobem zbawienie.

Ale jeśli Bóg chciał, żeby nasze zbawienie zależało od wiary naszej, to samo się przez się rozumie, że chciał, by ta wiara sama zależała od Jego objawienia, od tego byśmy wierzyli w to właśnie, w to jedno, co On nam objawił. Nie mógł zaś objawić przeciwnych między sobą rzeczy, nie mógł o tej samej rzeczy objawić **i tak i nie**. Chciał więc Bóg, byśmy mieli jednolitą, prawdziwą, wszyscy jedną i tę samą wiarę.

Na to więc co powiadają, że: "Człowiek żeby się zbawił, dość by żył po chrześcijańsku, uczciwie, by wypełniał swoje obowiązki, by się trzymał swej wiary, naturalnie chrześcijańskiej", – można odpowiedzieć: Zgoda. Ale tylko prawdziwa wiara chrześcijańska, a nie byle jaka, nosząca imię chrześcijańskiej, powie nam, na czym zależy to życie uczciwe, prawdziwie chrześcijańskie i jakie są to obowiązki; wiara zaś prawdziwa chrześcijańska jest jedna tylko, ta której Chrystus Pan nauczał. Nie mógł On nauczać wiar przeciwnych, nie mógł mówić w tej samej rzeczy **tak i nie**; dlatego też jednolitą, dla wszystkich jedną i tę samą zostawił wiarę prawdziwą, którą przechowuje Kościół katolicki.

Czy Pan Bóg rzeczywiście był obowiązany obdarzyć nas tą prawdziwą wiarą? – Tak, i Pan Bóg daje nam tę wiarę podwójnie: i wewnętrznie i zewnętrznie.

We Chrście świętym (bez różnicy czy kto chrzczony w katolicyzmie, czy w herezji, byle chrzest był ważny) człowiek otrzymuje zdolność, jakoby władzę osobną, do przyjęcia prawdziwej wiary, skoro ona mu będzie podana. Pan Bóg też z drugiej strony ma staranie, by wiara prawdziwa była wszędzie opowiadana, i temu zaradził przez urząd Kościoła jednego, prawdziwego.

Że ta zdolność, łatwość przyjęcia prawd wiary jest w nas po Chrście św., na to są liczne dowody. Jest to fakt psychologiczny tak pewny, że kiedy się spotyka jakiego chrześcijanina, któremu trudno przychodzi wierzyć, a powody tej trudności nie są widoczne, zaraz się przypuszcza, że nie był chrzczony. Liczne przykłady okazały, że po ochrzczeniu *sub conditione*, zaraz ta łatwość do wierzenia przychodziła sama przez się. W pierwszych wiekach katechumenom dorosłym nie wykładano wszystkich prawd wiary, a głównie tajono przed nimi dogmat Najświętszego Sakramentu, tak dalece, że przed zaczęciem właściwej Mszy św. wydalano ich z

kościola. Dziwnym zdawałoby się to postępowanie, bo wszakże zanim kto przyjmie wiarę, powinien by wiedzieć, co ona w sobie zawiera. A jednak była to praktyka bardzo logiczna, oparta na tym przekonaniu, że przed Chrztem św. człowiek nie ma tej zdolności, tej łatwości do wierzenia. Przed Chrztem św. Bóg daje łaskę ogólną wszystkim potrzebną do przyjęcia Chrztu św., a więc i łatwość do zrozumienia tych prawd, które do tego są wymagane, i tych prawd tylko nauczano katechumenów; inne dopiero po Chrzcie św. im wykładano.

Tę zdolność ponieważ posiadają i heretycy, często po nawróceniu się wyznawali, że kiedy ich uczono za młodu katechizmu heretyckiego, wszystkie te prawdy, które są wspólne z katolikami, łatwo przyjmowali; przeciwnie błędów właściwych herezji, podawanych im jako prawdy, nigdy zrozumieć nie mogli i czuli trudność w ich przyjęciu. Mieli więc ze chrztu tę łatwość nadnaturalną do przyjęcia prawd; fałsz zaś musieli rozumem naturalnym obejmować, i to im trudność sprawiało.

Z tego, cośmy powiedzieli, łatwo dać odpowiedź na to, czy tym, którzy nie są teologami, podobnym jest dochodzić, która wiara jest prawdziwą? Nie tylko to jest podobnym, ale niepodobnym, a przynajmniej trudnym jest mieć inną, fałszywą wiarę; bo do niej naprzód nie mamy tej łatwości, a następnie fałsz, w który wtenczas wierzyć staramy się, nie jest właściwie przedmiotem wiary; przeciwnie. Tu nic nie znaczy uczoność. Wszyscy chrześcijanie mają tę łatwość do wierzenia, i skoro im się poda prawdziwa wiara, zaraz ją przyjmują. I nic na świecie nie może oszukać tej zdolności nadnaturalnej; ona sprawuje, że i najprostszy trwają w wierze, a wątpią o fałszu.

Ale jeśli tak jest, dlaczegoż tylu uczonych nie znajduje prawdziwej wiary? dlaczego nie wszyscy ją przyjmują?

Chociaż każdy chrześcijanin ma ze Chrztu tę łatwość, zdolność do wiary, może jednak ona osłabnąć, może być jakoby uśpioną, a to dla wielu przyczyn. Ogólną tego przyczyną jest **grzech**. Z powodu grzechu słabnie w nas łaska Boża, a ta zdolność do wiary jest także łaską Bożą. Są jednak szczególne przyczyny, które wprost działają przeciwko tej zdolności do wiary. A te są: 1) **grzech przeciwko Duchowi Świętemu**, tj. jeśli ktoś dla korzyści doczesnych, ze strachu lub z hipokryzji, wyznaje to, w co nie wierzy, choćby nawet był wyznawał prawdziwą wiarę; 2) **pycha**, jako brak miłości prawdy; 3) **kłamstwo** wszelkie, udawanie, jako wprost przeciwne prawdzie.

Nie przyjmują prawdziwej wiary jeszcze i dlatego, że im się nie podaje ona jak należy. A to 1) **dla przesądów**. Np. chrześcijanin nie może wierzyć w nieomyślność Papieża, jeśli sądzi, że ona znaczy, iż Papież nigdy nie grzeszy; w tym bowiem razie dogmat ten przestaje dla niego być prawdą i staje się fałszem, a zdolność w nim owa nadprzyrodzona nie może go przyjąć; 2) **dla fałszywych powodów wiary**. Np. chrześcijanin nie może przyjąć wiarą dogmatu Trójcy Świętej, jeśli mu się podaje jako prawda rozumowa i dowodzi się czysto rozumem.

Z tego się pokazuje, jak ważną jest rzeczą dla zachowania wiary w narodzie starać się go wychowywać w prawdzie, w miłości do prawdy, oświecać go w prawdach wiary i zupełnie po prostu mu je podawać. Chcąc kogo nawet nawrócić, wiedząc o tym, że on ochrzczony, a więc ma w sobie tę władzę nadprzyrodzoną, która go czyni zdolnym do przyjęcia wiary, dosyć mu po prostu przedstawić prawdy wiary, nie siląc się na żadne dowodzenia. Jeśli ich zaraz nie przyjmie, zrobią one na nim wrażenie, i nie zostawią go w spokoju, póki ich nie wyzna. Prawda, że w dzisiejszych czasach, w których, niestety! naumyślnie szerzą tyle fałszywych pojęć o wierze katolickiej, nie dość jest podać prawdy wiary, trzeba je wyłożyć. Np. nie dość powiedzieć komu, że Papież jest nieomylny, trzeba wytłumaczyć, że nieomylnym jest w rzeczach wiary i moralności, kiedy jako Głowa Kościoła naucza wiernych. Jeśli i to często nie pomaga, to dlatego, że u wielu zdolność sama do wiary osłabła dla wyżej wymienionych powodów, – trzeba więc przede wszystkim starać się wzmocnić tę władzę i zdolność, a to modląc się za tych, których chcemy nawrócić.

* * *

Kto wierzy, że Bóg ustanowił Kościół, ten zarazem jest pewien, że Bóg chce, aby każdy do niego należał. Ale chodzi o to, czy Bóg chce, aby nasze zbawienie zależało od tego, żebyśmy należeli do prawdziwego Kościoła?

Widzieliśmy, że Bóg chce, byśmy mieli jedną, prawdziwą wiarę i postanowił, by od tego zależało nasze zbawienie, to znaczy, że chce, byśmy byli połączeni w jednej, prawdziwej wierze. A że Kościół jest właśnie zgromadzeniem ludzi, którzy są połączeni ze sobą jednością wiary, więc Bóg chce, byśmy byli w jednym Kościele i postanowił, by od tego zależało nasze zbawienie.

Ale czy w takim razie Bóg nie był obowiązany sprawić, byśmy wszyscy rodzili się w prawdziwym Kościele, i czy nie powinien był pokazać nam ten Kościół; byśmy będąc nawet w nim urodzeni, byli pewni, że jesteśmy w prawdziwym Kościele?

I jedno i drugie Bóg uczynił.

Rodzimy się wszyscy w Kościele katolickim, bo chrześcijaninem rodzi się każdy we Chrzcie świętym; a we Chrzcie św. staje się w duszy członkiem prawdziwego Kościoła i otrzymuje owo usposobienie, ową zdolność do wiary, o której mówiliśmy. Kościół zaś jest jeden i Bóg nie może dać zdolności i usposobienia do fałszywej wiary. Choć więc kto zewnętrznie nie należy do prawdziwego Kościoła, jest jednak w nim duszą, wewnętrznie. Błędy heretyckie przyjąć może potem, ale je przyjmie tylko rozumem, nie wiarą; **wierzy** zaś tylko w te prawdy, które z Kościoła wzięte zachowały się jeszcze w herezjach, i dlatego, o tyle, jest **wierzącym**. Jednym słowem, chrześcijanin, który z dobrym sumieniem trzyma się jakiej herezji, jest tylko zewnętrznie, materialnie, poza prawdziwym Kościołem, i może

się zbawić. Dopiero jeśli zaczyna wątpić o tym, czy jest w prawdziwym Kościele, a nie stara się oświecić; tym bardziej, jeżeli się już przekonał, że nie jest, a nie porzuca herezji, wtedy zbawić się już nie może, bo grzeszy ciężko przeciwko Duchowi Świętemu.

Może tu kto temu zarzucić, że w takim razie prawdą jest, iż nasze zbawienie nie zależy od tego, jaką wyznajemy wiarę i do jakiego należymy Kościoła, ale tylko od naszego sumienia, czy ono nie ma jakich wątpliwości? A w takim razie lepiej, by każdy trzymał się swej wiary i swego Kościoła, a innych nie niepokoił. Bo póki kto jest w **dobrej wierze** tj. sądzi, że jest w prawdziwym Kościele, może się zbawić; gdy zaś wzbudzimy w nim wątpliwości, już będzie obowiązany prawdy szukać i przyjąć ją znalazłszy, a nie mając dostatecznej odwagi, zgubi swą duszę.

Słusznym by to było, gdyby stan tych, co materialnie są poza Kościołem, był taki sam, jak tych co są całkowicie w Kościele. Ale tak nie jest. To oddzielenie się, jakkolwiek zewnętrzne tylko, od Kościoła, pociąga za sobą takie następstwa, że nie tylko nie lepiej jest zostawiać w spokoju będących z taką dobrą wiarą w błędzie, ale miłość chrześcijańska każe nam owszem ich niepokoić. Przyczyny tego są następujące:

1) Heretycy nie w niektórych tylko punktach różnią się od katolików. Głębiej w rzecz zajrzawszy przekonać się łatwo, iż nie masz dogmatu, któryby nie był inaczej tłumaczony, inaczej rozumiany u niekatolików. Samoż pojęcie Boga zupełnie inne jest u nich niż u nas (5). A pojęcie Boga wielki wpływ ma na całe życie nasze.

2) Uczynki zależą od wiary. Każdy rozumie, jaki wpływ na całe życie musi mieć np. ta wiara protestantów, że kto przeznaczony do piekła, cokolwiek by czynił, do piekła pójdzie, choćby żył jak najcnotliwiej; a kto przeznaczony do nieba, może grzeszyć, ile chce, a z pewnością się zbawi; że więc do zbawienia wystarczy sama ta wiara, która zasadza się na wewnętrznym ufaniu, że się jest do nieba przeznaczonym.

3) Wiara całkowita daje wiele środków do zbawienia służących, których herezja pozbawia. Np. posty, umartwienia, modlitwy do Świętych itd.

4) Chrystus Pan dlatego powierzył trzodę swą najwyższemu pasterzowi, aby on miał pieczę o niej. Choć więc owce i poza trzodą należą duchowo i z prawa do niej, ale piecza prawdziwa pasterska nie może się do nich rozciągać, bo nie są przy najwyższym pasterzu; może on tyle tylko dla nich czynić, że się stara napowrót do trzody je wprowadzić. Poza trzodą więc i jej najwyższym pasterzem nie ma prawdziwej pieczy pasterskiej i nie ma władzy rozgrzeszania (*cura pastoralis et jurisdictio*). Tam więc nawet, gdzie zachowały się sakramenty i hierarchia, gdzie jednak nie ma władzy prawowitej, nie ma też i prawdziwej pieczy pasterskiej; stąd też dla braku nauki i gorliwości kapłanów i biskupów, wierni nie mają tam z sakramentów żadnego pożytku dla dusz swoich. I nabożeństwo staje się tam tylko

zewnątrzną praktyką, nie mającą żadnego życia, ani pobudzającą do miłości Boga. Albowiem jak nikt tam nie daje biskupom władzy pasterskiej i jurysdykcji, tak też nikt nie dogląda tam biskupów, kapłanów, by pracowali nad ludem, by go nauczali, prowadzili i strzegli.

Jednym słowem, kto przypatrzył się dobrze stanowi religijnemu innowierców i kto zna warunki zbawienia, ten przyjść musi do tego przekonania, że to zdanie: "poza Kościołem katolickim nie ma zbawienia", tyczy się nie tylko tych, co z własnej woli, ale i w większej części i tych, co w dobrej wierze, jak powiadają, są poza Kościołem prawdziwym.

Lecz jeśli tak jest, w czymże różny jest stan pierwszych od drugich, to jest ludzi będących poza Kościołem rozmyślnie i w złej wierze, a będących tam nierozmyślnie i w dobrej wierze?

Naprzód w tym, że choć bardzo trudno zbawić się, nawet w dobrej wierze będącym poza Kościołem, to jednak **mogą** się zbawić. Po wtóre, że kto jest w dobrej wierze, ma czyste serce i kocha prawdę, ten znajdzie prawdziwą wiarę i Kościół. Bo taki ma owo usposobienie i zdolność do wierzenia w całej swej sile, dość więc, by mu się prawda przedstawiła, a zaraz ją przyjmie. Ponieważ zaś jest godnym członkiem Kościoła, mistycznego Ciała Chrystusa Pana, więc łatwo pozna głowę widzialną i ciało widzialne, to jest Kościół, do którego należeć powinien. I tu jest czas i miejsce, abyśmy się zastanowili nad tym, jak poznać prawdziwy Kościół Chrystusowy.

* * *

Bóg, który dał wiarę i ustanowił wiarę jako środek do zbawienia, sam także opatrzył sposób, aby ta wiara dostała się do wszystkich ludzi. Tym sposobem, tym narzędziem jest Kościół. On sam także dał i daje sposób poznania tego swego prawdziwego Kościoła. Opatrzył go takimi znakami, by wszyscy i najprostszy mogli go poznać.

Kościół swój Pan Jezus przeznaczył zaiste dla wszystkich ludzi, bo "chce by wszyscy ludzie byli zbawieni i do przyjęcia prawdy przyszli" (1 Tym. 2, 4). Otóż warunkiem takiego Kościoła musi być, aby był wszędzie, aby wszyscy mogli doń należeć – musi więc być **powszechnym, katolickim**. I takim jest rzeczywiście Kościół. Jest to pierwszy i największy znak prawdziwego Kościoła.

Prócz tego w rozmaitych czasach, różnymi odpowiednimi tym czasom znakami Bóg ludziom objawił prawdziwość swego Kościoła. Przemawiał On przez Kościół i dowodził czynami i dziełami, że w nim jest i przezeń mówi. I tak: w początkach żydom pokazywał, jak **proroctwa** spełniły się w Kościele; poganom zmaterializowanym dowodził prawdziwości swego Kościoła **męczeństwem i cudami**.

Po rozkrzewieniu się chrześcijaństwa nowym i oczywistym znakiem dla współczesnych, że Kościół jest prawdziwy, Boży, było samoż to **cudowne i prędkie rozszerzenie się** na przekór tylu prześladowaniom, pomimo że nauka Kościoła tak przeciwną była pojęciom i moralności ówczesnej; a to rozszerzenie się dokonało się tak prostymi i słabymi środkami, jakimi byli Apostołowie – rybacy, a do tego żydzi, zwłaszcza, że żydami gardziło całe ówczesne społeczeństwo pogańskie.

Te znaki mają swą wagę i dla nas dzisiaj; i dlatego historia jest jednym z głównych sposobów i znaków, którymi Bóg dowodzi prawdziwości swego Kościoła; chociaż tylko uczeni mogą dostatecznie z tego korzystać.

Po cudownym rozszerzeniu się Kościoła, przychodzi nowy znak jego prawdziwości, którym jest **również cudowne utrzymanie się jego**, pomimo tylu prześladowań, tym straszniejszych, że już nie od obcych, ale od własnych synów pochodziły; a często pomimo niebezpieczniejszego jeszcze zepsucia własnych, rządzących Kościołem zwierzchników. Dalejże sama ta **ciągłość, ustawiczność prześladowania Kościoła**, ponieważ jest dowodem, że w nim się wypełnia proroctwo Chrystusa Pana, który przepowiedział swym uczniom, że ciągle będą prześladowania, jest zarazem nowym dowodem i znakiem prawdziwości Kościoła.

Stanowczym na koniec znakiem, że Bóg jest w Kościele, jest tegoż **świętość i płodność**. 1) Naprzód świętość. Albowiem w Kościele są zawsze Święci i ludzie, co się poświęcają i uświęcają; że wielu jest gorliwych i prawdziwie nabożnych; że są cuda i że Kościół posiada środki uświęcania swych członków. Dowodem świętości Kościoła jest także i to, że ci, co się nawracają, czynią to z przekonania i często takie nawrócenie się jest połączone z heroizmem; przeciwnie, kto odstępuje od Kościoła, robi to zawsze prawie z pobudek nieczystych; i że nigdy jeszcze katolik umierając nie porzucił swej wiary, przeciwnie, iluż to heretyków wtedy się nawracało i nie z innego powodu, jedno że umierając człowiek już nie dba o dobro doczesne, ale tylko o interes duszy. Więc w Kościele tylko jest świętość. 2) Ale jest i płodność, jest siła żywotna. Na wszystkie potrzeby społeczeństwa Kościół ma lekarstwo. Ma różne zakony i zgromadzenia wywoływane rozmaitymi potrzebami ludzkości. Wydaje misjonarzy, poświęcających się dla zbawienia innych. Tylko Kościół katolicki rozmnaża wiarę na świecie, rozszerza królestwo Boże, szczepi wszędzie nowe życie. Herezje a tym bardziej niedowiarstwo nie mają siły jedno do niszczenia, nie zaś do budowania, albo jakiegokolwiek zapłodnienia. Więc w Kościele życie i płodność.

Na dzisiejsze czasy głównym znakiem prawdziwości Kościoła jest to, że on jedynie może zachować świat od **despotyzmu, pauperyzmu i socjalizmu**; że bez Kościoła społeczeństwo ludzkie ostać się nie może.

Dziś grozi światu straszny despotyzm. Rządzi światem ten, kto ma siłę, nie ten, co ma prawo. Nie ma nikogo, co by śmiało powiedzieć niesprawiedliwym władzcom:

tego nie wolno, to niesprawiedliwość! a co by zarazem miał powagę, dającą siłę tym słowom. Szeroko otwartymi wrotami wkracza w ten sposób samowolny despotyzm.

Z drugiej strony coraz bardziej szerzy się **pauperyzm**. Wszystkie bogactwa skupiają się w coraz mniejszej liczbie rąk, coraz więcej tedy nędzarzy, którzy wszyscy zależą od takich bogaczy. Stąd wywiązuje się i wywiązał **socjalizm**. Lud rozwścieklony na despotyczne ujarzmienie polityczne, chce zniszczyć wszelką władzę, wszelki rząd; rozjątrzony na ujarzmienie finansowe i niewolnictwo pieniężne, chce zniszczyć wszelką własność.

Jeden tylko Kościół może władzcom powiedzieć z całą siłą i powagą: **nie wolno**. On jeden doglądać ich może i nie pozwalać na despotyzm; a z drugiej strony pocieszać, łagodzić uciśnionych i trzymać ich w posłuszeństwie władzy. W nim rządzący mają sędziego, a rządzeni opiekuna, obrońcę. On jedynie może napędzać rządzących, by wypełniali swoje obowiązki, nakazywać podwładnym, by słuchali władzy, wtedy nawet gdy jest przykrą.

Kościół nie niszczy własności, ale bogatemu powiada: bogactwo danym jest tobie nie na to, byś tylko sam go używał, ale byś nim przychodził w pomoc ubogim; oni są twymi braćmi i z nimi jako z takimi masz się obchodzić. Do ubogiego zaś mówi: powinieś cierpliwie znosić twój stan, a nawet trzeba, byś pokochał ubóstwo, bo ono ci ułatwia drogę do nieba. Taka mowa znajduje posłuch u ludzi, bo widzą, jak w Kościele wielu używa swego majątku na wspomaganie ubóstwa, lub też wyrzeka się go zupełnie i staje się ubogim z miłości dla ubóstwa. Takie są znamiona i dowody Kościoła.

Ale czyż Kościół tylko katolicki odznacza się wszystkimi tymi znakami? Czyż ich również nie posiadają i herezje?

Na to pytanie jest odpowiedź, nie przypuszczająca wątpliwości. Herezje jeśli się rozkrzewiały, nie działało się to cudownie, ale za pomocą siły, intryg i przy schlebaniu namiętnościom ludzkim. Jeśli się długi czas one utrzymywały, to także nie cudem, ale podobnymiż środkami, jakimi się rozkrzewiały. Prześladowanymi nie były, ale zawsze prześladowanymi. Świętość od nich daleką była, przeciwnie, początek ich bywał nieczysty, niesprawiedliwy, oparty na kłamstwie, przemocy i bezprawiu. Środków do uświęcenia nie mają żadnych. Płodne są tylko w nowe coraz liczniejsze i drobniejsze herezje, których nie mają mocy z łona swego wyrzucić. Despotyzm uprawniają one zawsze, a wobec pauperyzmu i socjalizmu zupełnie są bezsilne.

Ale czyż i w Kościele katolickim nie zdarzają się księża, biskupi, nie wypełniający swych obowiązków, nie dbający o swe trzody i dający zgorszenia?

Niestety! Zdarzało się i zdarza się to nieraz; ale w Kościele katolickim taki stan długo trwać nie może, jest rada na to. Jest bowiem Pasterz powszechny, który dogląda biskupów i księży. Chrystus Pan jest ze swym Kościołem. "Oto ja jestem z wami aż do skończenia świata!". On sam więc ma pieczę, by i Pasterz powszechny był ku zbudowaniu Kościoła, i w Kościele samym błędy i bezprawia, te bramy piekielne, wiary i prawa nie przemogły.

IV. Rozprawa z heretykami

Tu już mamy na względzie tych, którzy nie tylko są w herezji, ale jej bronią; tacy są tak nazwani heretycy formalni, to jest tacy, co trzymają się swej wiary nie dlatego tylko, że się w niej urodzili, ale że ona im się wydaje prawdziwą. W sporze z nimi trzeba się mieć na baczności, żeby nie zejść z drogi katolickiej i pamiętać o tym, jakim sposobem możemy po katolicku i logicznie dowodzić naszej wiary. Wiara, już wiemy, opiera się na **objawieniu**: "Wierzymy w coś **dlatego**, że to Bóg objawił"; ta jest jedyna racja naszej wiary.

Zanim jednak w coś uwierzę, coś jako objawione przyjmę, muszę wprzód wiedzieć: 1) że Bóg istnieje; 2) że Bóg, kiedy objawia, w błąd nas nie wprowadza i 3) że Bóg rzeczywiście to objawił, w co ja wierzę. Otóż te trzy prawdy, od których mam zacząć i naprzód je wiedzieć, czy już są naprzód w moim rozumie, czy też je mam także przyjmując wiarą?

Jeśli je przyjmę rozumem i rozumowo ich będę dowodził, to czyż wtedy ostatecznie racją naszej wiary nie będzie rozum? czyli nie to, że Bóg objawił, ale że rozum nas tak uczy; i czy przez to wiara nasza nie straci całego swojego charakteru nadprzyrodzonego tj. nie przestanie być wiarą?

Z drugiej strony, jeśli w te prawdy mam wierzyć, to czyż wtedy nie będę musiał w nie wierzyć **dlatego**, że Bóg je objawił? Więc będę wierzył, że Bóg istnieje, dlatego że Bóg objawił, iż istnieje. Ale to że objawił, czy przyjmę rozumem, czy znowu wiarą? Jeżeli wiarą, wtedy będę musiał dalej wierzyć, że Bóg objawił, że objawił, iż istnieje itd. Będziemy się tedy musieli tak kręcić, i z tego błędnego koła nie wyjdziemy nigdy.

Jakiż więc jest rozumny i możebny sposób dowodzenia naszej wiary? Mielizby więc rację ci, co powiadają: "z wami katolikami dysputować nie można"? A dodają jeszcze do tego: "bo wy wierzyć musicie **dlatego**, że tak **Kościół was uczy**".

Otóż w tym jest racja.

Wiara nasza katolicka nie tylko opiera się na objawieniu Bożym, ale jeszcze na tym, że to objawienie powinno nam być **podane przez Kościół**. W dzisiejszym

stanie rzeczy Pan Bóg nie bezpośrednio każdemu, ale przez Kościół daje i przekazuje objawienie raz od początku dane. W sporze więc z heretykami na wszystko powinniśmy odpowiadać: tak uczy Kościół katolicki. Albowiem, jeśli dowodzić będziemy z Pisma św. lub z rozumu, zejdziemy na pole protestanckie i przyjmujemy ich zasadę, że o wszystkim decyduje Pismo św. i rozum. Z drugiej strony i to prawda, że tak odpowiadając, protestantów tym jednym nie przekonamy.

Jakżeż tedy mamy dowodzić naszej wiary?

* * *

Rzecz sama w sobie jest prosta; a tylko subtelności ją zaciemniają.

Kiedy Pan Bóg coś ludziom objawia, już tym samym zatwierdza to wszystko: **że jest, i że objawia, i że jest Bogiem, i że to prawda, co On objawia**; podobnie jak gdy kto mówi do nas, nie potrzebuje dodawać **że jest, że mówi, i że to prawda, co mówi**, bo już tym samym że mówi, to wszystko zatwierdza. Widoczną tedy jest rzeczą, że cała wiara nasza opiera się na tym jednym, że Bóg mówi, że objawia; bo to wszystko i **że jest Bóg, i że objawił, i że to prawda, co objawił**, i że ja dlatego w to wierzę, opiera się na jednym fundamencie, którym jest ten fakt: **że Bóg objawił**.

Tak samo i dowody wszelkie, którymi się stwierdzają te prawdy, zawierają się w samymże fakcie objawienia. Bóg bowiem, kiedy do ludzi mówi, w tym samym czasie okazuje, **że to On mówi**. Objawienie tedy Boże ma dwie strony: jedną jest fakt, że Bóg mówi, drugą jest fakt ów sam, że czynem dowodzi, iż to On mówi; tamto jest słowo Boże, a to jest czyn Boży, czyn jednemu Bogu właściwy, który tego słowa dowodzi.

I tak całe życie Chrystusa Pana, cuda, spełnione proroctwa, użycie kilku prostaków dla nawrócenia całego świata, cała historia tego nawrócenia, cudowne rozkrzewianie się i utrzymanie Kościoła, świętość jego itd., całe wreszcie dzieje rodzaju ludzkiego, wszystko to razem wzięte, jest jakby tyleż dowodów bijących, którymi słowo objawione okazuje się Bożym i dowodzi swego boskiego pochodzenia.

Słowo Boże przez fakta Boże okazuje się Apostołom i żydom jako Bóg objawiający się i jako Bóg objawiony. "Dzieła świadczą o mnie, że Ojciec mię posłał" (Jan. 5, 36). Dla tych, którzy patrzyli na te fakta, były one obecnymi **fizycznie**, nam są obecnymi **w Kościele**, i jak współcześni tym faktom poznali w nich Boga, który im się objawiał, i uwierzyli w to, co im objawił, nie dla czego innego, jedno że im objawił On sam, – tak i my poznajemy i wierzymy przez Kościół, w którym Chrystus zawsze żyje i działa (6).

Z tego wszystkiego cośmy powiedzieli, okazuje się, w jaki sposób możemy dowodzić naszej wiary.

Dowodzić pojedynczych dogmatów nie możemy ani rozumowo, ani rozumem z Pisma św., bo racja, dla której je przyjąć trzeba, jest ostatecznie ta, że Kościół nas tak naucza. Możemy uciekać się do Pisma św., jeśli chodzi o wytłumaczenie źle zrozumianego jakiego tekstu, o pokazanie, jak prawdy wiary niektóre w Piśmie św. są wyrażone. Wolno nam posługiwać się rozumowymi dowodami, by pojąć to lepiej, w **co już wierzymy**, by jakoś sobie prawdy wiary wytłumaczyć; *fides* jest wtenczas *quaerens intellectum*, by, jak powiada Sobór Watykański, dowieść, że uległość nasza dla wiary jest zgodną z rozumem; na koniec zbijając zarzuty przeciwników.

Jeżeli chcemy iść dalej i ze stanowiska odpornego przejść na zaczepne, możemy dowodzić wiary w jej fundamentach, możemy

1) pokazać, że Bóg w Kościele żyje i działa, wskazując na owe fakta Boże w Kościele naszym; jakeśmy to uczynili w poprzednim rozdziale, mówiąc o znakach prawdziwego Kościoła;

2) możemy, posługując się Pismem św. jako dziełem historycznym, pomijając jego powagę boską, wykazać z historii, że **Chrystus Pan postanowił, żeby Jego nauka podawaną była przez Kościół katolicki.**

* * *

Wszyscy Chrześcijanie, jakiegokolwiek są wyznania, zgadzają się na to, że objawienie, mieszczące w sobie to wszystko, w co człowiek powinien wierzyć i co ma pełnić, było przeznaczonym nie tylko dla współczesnych Chrystusowi Panu, ale dla wszystkich ludzi aż do skończenia świata. Główną więc rzeczą jest wiedzieć, jak się nam **przekazuje** i **podaje** ta nauka czysta i niezmieniona? Gdzie jej mamy szukać i od kogo przyjmować? Kto nam ją będzie tłumaczył? i kto będzie sędzią, stanowiącym czy dobrze tę naukę rozumiemy? W tym jest wszystko. Raz zapewniwszy się co do sposobu, jakim się nam przekazuje, **podaje** objawienie, **musimy przyjąć wszystko, cokolwiek tym sposobem podane nam będzie.**

Podawanie, podanie (*traditio*) takie nauki objawionej, jakie katolicy przyjmują, a innowiercy odrzucają, jest następujące:

Dla katolików objawienie jest **podawane** przez nauczycieli, pochodzących od Apostołów i z którymi jest Duch Święty. Oni tłumaczą objawienie, a sędzią jest Papież; dla innowierców albo nie ma sędziego, albo objawienie **jest podane** przez biblię, a sędzią jest rozum ludzki.

Uprzedzamy jedną trudność. Pan Bóg jest wszechmocny, powiadają przeciwnicy, dlaczego by nie mógł ustanowić, aby nauka Jego tym sposobem się podawała, o jakim mówią innowiercy? Prawda, odpowiadamy, że mógłby był to uczynić; atoli niech zważą, że nie odpowiadałoby to Jego zwykłej Opatrzności, przez jaką rządzi ludźmi. Religia bowiem jest przeznaczoną dla wszystkich ludzi; gdyby zaś każdy musiał z osobna sobie religię urabiać przez czytanie Pisma św., większa część ludzi nie byłaby w stanie mieć religii; lub też musiałby Pan Bóg obdarzyć wszystkich nieomylnością, miliony razy powtórzoną.

Przytaczają nam Stary Zakon, w którym objawienie przekazywało się przez Pismo św., i gdzie nie było żadnego Papieża nieomylnego.

Prawda, że Stary Zakon był obrazem nowego; ale też dlatego u żydów Pismo św. tłumaczyli kapłani, tj. nauczyciele od Boga ustanowieni, a sędzią nieomylnym był Arcykapłan. Chrystus Pan stwierdza to nakazując ich słuchać: "Na **stolicy** Mojżeszowej usiedli nauczeni w Piśmie św. i Faryzeuszowie. **Przetoż** wszystkiego czegokolwiek rozkazali przestrzegać, przestrzegajcie i czyńcie, ale według uczynków ich nie czyńcie" (Mt. 23, 2-3). Nawet w osądzeniu Pana Jezusa na śmierć, Kajfasz arcykapłan, choć zgrzeszył ciężko, ale się nie omylił; wypełnił bowiem wszystkie prorocтва o Mesjaszu. Ewangelia wyraźnie to powiada (Jan. 11, 51). Kiedy się zebrała rada przy arcykapłanie, mówiąc: "Cóż uczynimy? albowiem ten człowiek wiele cudów czyni. A jeśli go tak zaniechamy, wszyscy weń uwierzą, i przyjdą Rzymianie, a wezmą nam to miejsce nasze i lud; Kajfasz rzekł im: Wy nic nie wiecie, ani myślicie, że nam jest pożytecznie, żeby jeden człowiek umarł za lud, ażeby wszystek ten lud nie zginął. **A tegoć nie mówił**, dodaje Ewangelista, **sam od siebie, ale będąc najwyższym kapłanem roku onego, prorokował**" (co w Piśmie św. znaczy: mówił z Ducha Świętego).

Zresztą nie chodzi nam o to, czy Bóg mógł takie ustanowić przechowywanie i przekazywanie swej nauki, jak utrzymują innowiercy, tylko o to, czy rzeczywiście tak uczynił? A że tak nie uczynił, wiemy naprzód z tego faktu, że ci, co Biblię czytają i podług własnego rozumienia wiarę swoją z niej tworzą, jedno i toż samo miejsce najrozmaiciej i najniezgodniej pojmują! Wiemy z drugiej strony faktycznie, i historia nas uczy, jaki Pan Jezus **sam** ustanowił sposób podawania swej nauki; i że on jest taki, jaki przyjmują katolicy. Idzie tylko o to, byśmy się mu bliżej przypatrzyli.

* * *

Chrystus Pan nauczał sam za życia, i ci co Go słyszeli mieli wprost od Niego objawienie niemylnie i niezmiennie; ale ponieważ swą naukę przeznaczał dla wszystkich ludzi na całym świecie i po wszystkie wieki aż do skończenia świata, musiał sam o tym pomyśleć, by ta nauka czysta i niezmienniona zachowywała się i była wciąż podawaną; musiał ustanowić sposób tego podawania i ten sposób widocznym uczynić wszystkim.

Jakiż więc podobny sposób ustanowił Pan Jezus? O tym wiemy z historii.

1) P. Jezus **ustanowił nauczycieli, posłanników (*Apostoli*), którym przekazał całą swą władzę**: "Jako mię posłał Ojciec mój, tak i ja was posyłam" (Jan. 20, 21). "Dana mi jest **wszystka moc**... idąc tedy nauczajcie wszystkie narody" (Mt. 28, 18). "Cobyściekolwiek związali na ziemi, związanym będzie i w niebie" (Mt. 18, 18).

2) **Zobowiązał wiernych, by słuchali tych posłanników, nauczycieli**: "kto was słucha, mnie słucha, a kto wami gardzi, mną gardzi, a kto mną gardzi, gardzi Onym, który mię posłał" (Łk. 10, 16).

3) **Obiecał być z tymi posłannikami, nauczycielami aż do skończenia świata**: "A oto ja z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata" (Mt. 28, 20). **A to jak? Posyłając im Ducha Świętego**: "Aby z wami mieszkał na wieki, onego Ducha prawdy" (prawdy, aby nie zblądzili) (Jan. 14, 16). "Onci was nauczy wszystkiego i przypomni wam wszystko, comkolwiek wam powiedział" (Jan. 14, 26). **W czym obiecał być z posłannikami, nauczycielami? W nauczaniu, w rządzeniu**: "Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je, **ucząc je przestrzegać** wszystkiego, com wam przykazał, **a oto jamci** jest z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata" (Mt. 28, 19-20). – Apostołowie nie żyli do końca świata, mowa więc tu i o ich następach.

Stąd to ważne następstwo, że Chrystus nie zostawił swej nauki i swych przykazań zapisanych w jakiejś księdze, z której by wszyscy mogli się uczyć, co mają wierzyć i czynić; nie ułożył jakiegoś katechizmu, kodeksu albo biblii; ale zostawił po sobie żywych posłanników, nauczycieli z odpowiednią władzą. Ten jest sposób, którym chciał Chrystus Pan, by się podawała Jego nauka; a to widać i z tego, jak Apostołowie wolę Jego wykonywali.

Jakże oni czynili? Czy może rozdawali wszędzie Pismo św.? Bynajmniej. Ewangelie i Listy Apostolskie były ułożone daleko później i **jakby przypadkiem**, i to dla pożytku tych, którzy już byli chrześcijanami. Tak np. chrześcijanie przebywający w Rzymie, życzą sobie mieć spisane to wszystko, co im św. Piotr o Panu Jezusie opowiadał, proszą tedy św. Marka, by to spisał. Św. Piotr dowiedziawszy się o tym, przeziiera i potwierdza to, co napisał jego uczeń. Tak powstała Ewangelia św. Marka. Św. Paweł, gdy sam nie może być w Tesalonice, pisze list do wiernych tam będących. Tak mniej więcej powstają wszystkie listy Apostolskie. Apostołowie nauczają, każą, wyświęcają innych na swoje miejsce, polecając im podobnie czynić. "A coś słyszał ode mnie, powiada św. Paweł do Tymoteusza, to powiedz wiernym ludziom, którzy by sposobni byli i innych nauczać" (2 Tym. 2, 2) i to aż do skończenia świata. "Rozkazuję ci przed Bogiem.... abyś zachował te przykazania.... aż do przyjścia Pana naszego" (1 Tym. 6, 14). O to najbardziej chodzi Apostołom, a później i ich następcom; o to, aby było

żywe przekazywanie nauki razem z władzą z jednego pokolenia do drugiego, takich żywych posłanników, nauczycieli.

Pan tedy i Bóg nasz Jezus Chrystus dał władzę, obiecał swą obecność wszystkim następcom Apostołów tj. biskupom; wiernych zaś zobowiązał, by ich słuchali. Ale biskupi nie są nieomylni; nie wszyscy tedy będą jednego nauczali, owszem będą się nie zgadzali z sobą, nie z nimi wszystkimi tedy będzie Bóg, i rząd prawdziwy Kościoła nie będzie mógł na nich samych się opierać. Oto trudność, jaka sama z siebie się przedstawia. Rozwiązać ją łatwo.

Chrystus Pan dał władzę Apostołom nauczania, rozgrzeszania, obiecał im swą obecność i to, że ich Duch Święty będzie strzegł, by nie zbłądzili, ale obiecał to im **dopóki są razem**, tj. o ile wspólnie w jedności stanowią Kościół nauczający, rządzący. Przemawiał zawsze do wszystkich Apostołów razem, kiedy ich obdarzał władzą lub obiecywał pewne przywileje; przetoż obietnice Jego odnoszą się do nich w tej chwili i stanie, kiedy stanowią **jedno**.

A jakże wiemy, kiedy są oni razem, kiedy stanowią jedność, jeden Kościół? bo nawet tam, gdzie najbardziej byli razem np. zebrani w Sobory, nieraz błędzili; nieraz jeden Sobór stanowił to, co obalał drugi; i dlatego nawet nie wszystkie sobory są przez Kościół przyjęte.

Oto nowa trudność! Ale oto zaraz ostateczna odpowiedź.

"Szymonie, Szymonie, powiedział Chrystus Pan do św. Piotra w czasie ostatniej wieczerzy, oto szatan wyprosił was, aby was odwiewał jako pszenicę" tj. aby was rozproszył, aby zniszczył tę jedność. "Alem ja prosił **za tobą**, aby nie ustała wiara **twoja**, a ty niekiedy nawróciwszy się, utwierdzaj braci twoich" (Łk. 22, 31-33).

Jedność więc się zachowa, bo św. Piotr jest nieomylny. Pan Jezus prosił Ojca, by nie ustała wiara Piotra, czyż może ustać? Sam też zaraz powiada, że **wyprosił**, bo dodaje: "a ty utwierdzaj braci twoich".

Widzieliśmy, że **władza nauczania** dana jest całemu Kościołowi; teraz zaś widzimy, że jest daną zależnie od św. Piotra, bo On jeden nieomylny, bo On ma utwierdzać innych. To jedno przypuszcza i pokazuje, że inni mogą zbłądzić, że tylko jeden Piotr jest nieomylny.

To samo trzeba powiedzieć i o władzy **rozwiązywania i związywania** tj. **rządzenia**. Dana ona jest całemu także Kościołowi, ale znowu zależnie od Piotra św., bo on jest **klucznikiem**: "Tobie dam klucze Królestwa niebieskiego, a cokolwiek zwiążesz na ziemi, związane będzie i w niebie; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, rozwiązane będzie i w niebie" (Mt. 16, 19). Co mają wszyscy Apostołowie razem, w jedności ze św. Piotrem, to on ma sam jeden.

W końcu św. Piotr jest fundamentem, jest podstawą siły i trwania Kościoła. Wprawdzie Chrystus Pan obiecał być ze wszystkimi posłannikami, nauczycielami, z całym Kościołem na zawsze; ale jeśli "bramy piekielne nie przemogą go", to dlatego, że zbudowany jest na św. Piotrze: "Ty jesteś Piotr, i na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go" (Mt. 16, 18).

Powiedzą, że to wszystko **obiecał** Pan Jezus Piotrowi, a potem, kiedy ten się Go zaparł, tego przywileju mu nie dał. Na to odpowiemy przede wszystkim, że Chrystus Pan wiedział naprzód, co czynił i przewidywał, co się stanie; więc upadek św. Piotra rzeczy nie zmienił, zwłaszcza że Chrystus Pan ten urząd potwierdzania braci dopiero po upadku Piotrowi nakłada: "A ty **nawróciwszy się**, powiada, potwierdzaj braci twoich". Następnie odpowiadamy, że gdyby zmiana była zaszła, musiałby Pan Jezus albo kogo innego na miejsce Piotra przeznaczyć, albo inaczej zarządzić Kościołem; o takiej jednak zmianie historia nic nie wie; owszem co innego zapisuje, a mianowicie, że po Zmartwychwstaniu św. Piotr owo zaparcie się zmył potrójnym aktem miłości; a Pan Jezus powierzył mu swą trzodę tj. wszystkich wiernych, wszystkich chrześcijan, mówiąc: "Paś baranki moje, paś owce moje" (Jan. 21, 16). Chrystus Pan jest **pasterzem** (Jan. 10, 11); barankami Jego są wszyscy wierni, owcami są wszyscy pod-pasterze, to jest biskupi, jako matki wiernych; nad wszystkimi zaś, i barankami i owcami, stoi Piotr, już po zaparciu się swoim, już po Zmartwychwstaniu Jezusa, w przededniu Jego odejścia do nieba, postawiony nad całą trzodą Pańską jako prawdziwy zastępca Chrystusa, i na Jego miejscu najwyższy nauczyciel i rządzca i głowa widoma Kościoła. Więc oczywista, że co Chrystus Pan raz w Piotrze ustanowił, tego nie zmienił, to ustanowił na zawsze.

Dlaczegoż więc dopuścił P. Bóg upadek św. Piotra?

Jak w Starym Testamencie urządzając Bóg Kościół żydowski przeznaczył na pierwszego Arcykapłana nie Mojżesza, tak wielkiego sługę Bożego i tak Mu miłego, ale Aarona; i chociaż ten ostatni upadł i zaparł się Boga, jednak postanowienia swego Bóg nie zmienił i kazał Aarona wyświęcić; tak podobnie i w Nowym Testamencie: Chrystus Pan przeznaczył na pierwszego Arcykapłana nie św. Jana, którego najbardziej miłował, ale św. Piotra; i chociaż ten się Go zaparł, jednak Chrystus Pan dał mu władzę najwyższą nad swoim Kościołem. Dlaczego?"Bo potrzeba było, powiada pięknie św. Jan Złotousty, byśmy takiego mieli naczelnika, któryby własnym nauczony upadkiem, umiał być dla nas pobłażliwym".

* * *

Jedno jeszcze i ostatnie zostaje do powiedzenia, a to jest, że jak Kościół będzie trwał aż do skończenia świata, tak równie trwać będzie i urząd w nim Piotra żyjącego w swoich następcach, to jest w każdorazowym Papieżu. Już to wynika z tego wszystkiego, cośmy powiedzieli. Jeżeli Kościół jest zawsze trwały, jeżeli

urząd apostołsko-nauczycielski jest również nieustający, jeżeli Chrystus będzie z nim aż do końca świata; to jakże daleko więcej odnosi się to wszystko do Piotra i jego urzędu, który jest tym fundamentem przez Chrystusa postawionym, na którym stoi Kościół, i od którego wszystko w Kościele zależy. Usuń tę opokę, a sam Kościół runie.

Ale szczególnie i ostatecznie runie wtedy prawda i zginie z tej ziemi. Bo jeżeli co z tego katechizmu spornego mogło się jasno okazać, tedy to właśnie, że ostatnim dowodem pewności i nieomyślności w wierze jest Kościół, ale w Kościele samym jest nim koniecznie Papież. Gdyby nie było Papieża, nie byłoby też ani nieomyślnej pewności w wierze, ani też w ogóle żadnej nieomyślnej pewności; pozostałoby prawdopodobieństwo, zdanie, przypuszczenie, a w końcu wątpliwość, która by wkrótce rozproszyła wszelką prawdę, bo ta nie ma śmiertelniejszego wroga nad wątpliwość. Usuń tedy opokę nieomyślnej prawdy, która jest w Kościele a i sama prawda zginie z tej ziemi!

Przypisy:

(1) Zobacz Goudin'a (*Inst. Phil.*) o Materii. (*)

(2) Zobacz: Hirn, *Conséquences philosophiques et métaphysiques de la Thermodynamique*, p. 443 . – A Maury, *Le sommeil et les rêves*.

(3) Franzelin, *De Deo uno*, p. 460.

(4) "Firma et stabili fide omne iudicium Dei justum esse credamus, nec appetamus habere cognitum, quod voluit esse secretum; ut ubi investigari non potest, quare ita iudicet, sufficiat scire, quis iudicet" (Autor nieznanego dzieła: *De Vocatione gentium*, II, 21).

(5) Tak to jest widocznym, że kiedy Schiller powiedział, że najlepiej określić Boga, iż jest miłością, Göthe miał zawołać: "Nie przyjmujcie tego twierdzenia, bo on wam z niego cały katolicyzm zaraz wyprowadzi!". Gdzie indziej znowu Bóg uważany jest jakby jaki urzędnik, który tylko czyha na to, by kogo złapać na jakiejś, choćby mimowolnej pomyłce.

(6) Franzelin, *Analogia rationis cum fide*.

(*) Antoni Goudin OP, *Philosophia juxta inconcussa tutissimaque D. Thomae dogmata*. (Przyp. red. *Ultra montes*).